

# Byłem w Polsce – 6

19 maja 2018

Z Nowolipek wróciliśmy na Edelmanna po nasze auto. Korciło mnie, żeby podjechać jeszcze parę ulic dalej na Chłodną, gdzie wiele lat wcześniej poznaliśmy się z moją Żoną, ale było już późno i odłożyliśmy ten romantyczny powrót na kiedy indziej.

Generalnie rzecz biorąc Krysia jest ode mnie lepszym kierowcą. I w takim stwierdzeniu nie ma żadnej mojej fałszywej kokieterii. Po prostu jest spokojniejsza i ma lepszy refleks. Ale ma też niewzruszone zasady, których prawie nigdy nie łamię, albo przynajmniej wtedy, gdy jestem pod ręką.

Otóż chodzi o to, że nie prowadzi samochodu w nocy, w czasie deszczu i wtedy gdy śnieg pada, w górach, na wiaduktach i na mostach i wtedy gdy boli ją głowa. Jest jeszcze parę innych, ale poprzestanę na wymienionych. Bywa jednak, że nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach także nie godzi się na przejęcie kierownicy. Pamiętam, gdy kiedyś w słoneczny dzień jechaliśmy nieprzytomnie prostym i nudnym highwayem w Południowej Dakocie i zapytałem Ją, czy nie chciałaby mnie zmienić za kierownicą, usłyszałem, że nie, bo akurat „nie czuje się najlepiej”.

W konsekwencji, gdy gdzieś razem jedziemy, zawsze jestem „wyznaczonym kierowcą”!

W czasie naszych polskich wizyt parę razy prosiłem o to, żeby mnie zastąpiła, ale ku mojemu zaskoczeniu dowiedziałem się o jeszcze jednym warunku:

– Nie prowadzę w Polsce!

Próbowałem protestować, że przecież jest sucho i słonecznie i nie jesteśmy w górach, ale na próżno!

– W Polsce nie prowadzę!

Taka była ostateczna odpowiedź. I od tej decyzji „nie służyło odwołanie”.

Piszę o tym dlatego, ponieważ akurat wtedy – w czasie powrotu z Muranowa – zagapiłem się na jakimś skrzyżowaniu, trochę za późno ruszyłem spod świateł, ktoś zaczął trąbić, potem wyprzedził mnie z piskiem opon i nagle ujrzałem wyciągniętą przez okno rękę z wyprostowanym środkowym palcem!

Wszystko w porządku, moja wina, ale dlaczego od razu „palec”? I zaraz potem uświadomiłem sobie, że ten „palec” – podobnie jak Santa Klaus – też jest importem z Zachodu.

Gdzie kiedyś ktoś w Polsce słyszał o jakimś palcu?!?

„Za moich czasów” taki gest byłby co najmniej niezrozumiały. Owszem – stukano się w głowę, robiono „gest Kozakiewicza”, wygrażano pięścią, a czasem stukano się tą zaciśniętą pięścią w podbródek, ale żeby jakiś palec??? Co to to nie! Muszę przyznać, że z biegiem czasu dostawałem tych palców więcej. Tak od mężczyzn, jak i od kobiet, a nawet młodych dziewczyn. Tu – na polskich drogach – nikt nikomu nie dawał taryfy ulgowej! I muszę powiedzieć, że to nie było miłe. Odpuściłem więc mojej Żonie ten dodatkowy warunek o nieprowadzeniu w Polsce, bo po co narażać Kobiety na stres.

Do mamy jeździliśmy regularnie, ale z biegiem czasu nie było lepiej, a wręcz gorzej. Umarła też – całkiem nieoczekiwanie – moja „podopieczna” pani Bożenka – eksmajor milicji obywatelskiej, ekskierownik działu do zwalczania przestępstw gospodarczych i obecna współmieszkanca mojej teściowej.

Śmierć tej siedemdziesięcioletniej kobiety była dla nas pewnym szokiem. Dopiero co dowcipkowała i dopominała się o swoje przedobiednie ciastko, a tu masz!

Ostatnimi dniami dostawała coraz więcej krwawych odleżyn na piętach, kolanach i wychudzonych do niemożliwości nogach. Jadła, bo jadła, ale nie ruszała się prawie w ogóle. Tyle

tylko, że otwierała buzię. Leżała w jednej pozycji, a jakikolwiek ruch – czy to przy przewijaniu, czy myciu – sprawiał jej ból. Jęczała wtedy tak okropnie, że aż serce w nas zamierało, bo przecież działo się to tuż obok nas, a my nie mogliśmy jej pomóc. Moja teściowa patrzyła na nią smutnymi oczami, ale nic nie mówiła, bo przecież nie mogła.

Tak więc pani Bożenka umarła i wokół jej łóżka zaciągnięto parawan, ale to tylko na małą chwilę, bo potem wywieziono ją specjalnym samochodem do zakładu pogrzebowego. Miejsce po pani major zostało puste, ale nie na długo. W tydzień później zajęła je niesłychanej dobroci i klasy osoba – dziewięćdziesięcioletnia pani Zofia.

Jej przyjście bardzo pozytywnie wpłynęło nie tylko na naszą mamę, ale także i na nas, bo pani Zofia była niezwykle interesującym rozmówcą, umysł miała jasny i klarowny jak źródłana woda, a przede wszystkim była bardzo pogodnym człowiekiem. Wiadomo – z pogodnym zawsze łatwiej! Pani Zofia przyszła do Domu z własnej woli. W pewnym momencie doszła do wniosku, że nie może dalej sama mieszkać, dochodząca pomoc jest dalece niewystarczająca, a ponadto fizycznie czuje się coraz gorzej. Czymś się zatrzymała, były jakieś powikłania, potem złamane biodro i coś tam jeszcze. Z rodziny miała tylko jednego syna, który od lat mieszkał za granicą, rzadko był w Kraju, a ponadto miał żonę, z którą pani Zofii nie było jakoś „po drodze”.

– A nie chciałaby pani mieszkać z synem? – pytałem trochę naiwnie.

A ona odpowiadała z energią:

– W żadnym razie! Wystarczy, że dzwoni.

Takie sytuacje bywają aż nadto częste. Każdy to wie i rozumie.

Do niebывałych rzadkości należy związek jednego z moich dawnych kolegów, który przez ładnych parę lat mieszkał z młodą

żoną w jednym pokoju z teściową. I przetrwali! Przetrwali! Pamiętam, że nikt nie dawał im cienia szans! Trudno to sobie wyobrazić! W jednym kącie małej kawalerki w bloku łożko z nowożeńcami, a w drugim kącie niestara, świeżo rozwiedziona teściowa. Kawalerka miała siedemnaście metrów kwadratowych. Z wnęką kuchenną.

Z dwojga złego chyba bardziej współczułem tej teściowej, bo jakżeż mogła spokojnie spać, gdy tuż obok córka kochała się ze swoim mężem! Trudno sobie nawet wyobrazić wieloznaczność takiej sytuacji!

Wiele razy pytałem mojego kolegę, jak w takich warunkach udało im się przemieszkać pięć czy sześć lat – do chwili znalezienia własnego lokum – ale nigdy nie dostałem jasnej odpowiedzi. Inna rzecz, że moje pytanie było głupie i nawet niedelikatne, ale to był dobry kumpel i mogliśmy sobie wiele powiedzieć. Kolega uśmiechał się tylko tajemniczo...

Z panią Zofią rzecz się miała zupełnie inaczej i na kontakty ze swoją synową kładła stanowcze weto! Tak więc z wyboru była sama i z wyboru zainstalowała się w Domu, w którym – według jej słów – miała sobie spokojnie poczekać na śmierć. Na razie śmierć nie przychodziła, pani Zofia tryskała humorem i od razu szczerze polubiła naszą mamę. A przecież nie było między nimi żadnych rozmów, bo przecież mama nie mówiła, a jednak od samego początku obie panie nawiązały kontakt. Ten kontakt polegał na tym, że pani Zofia opowiadała coś naszej mamie, a ona patrzyła na nią i w jakiś sposób dawała znać, że rozumie. Czasami, ale bardzo rzadko, przez mamy usta przemykał delikatny uśmiech i chociaż to były tylko małe chwilki, to właśnie one sprawiały, że kobiety lubiły się coraz bardziej.

O ile mamę trzeba było karmić – i to zmiksowanymi papkami, czasami nawet specjalną strzykawką – o tyle pani Zofia jadała sama przy stoliku. W żadnym razie nie pozwalała się przewozić wózkiem do jadalni.

– Będę jadała tu, w pokoju, razem z panią Ziutą!

Inna rzecz, że widok karmienia naszej mamy przez szprycę denerwował ją okropnie.

– Jak tak można? – mówiła wzburzona – przecież to tak jak się karmi gęsi! Okrucieństwo!

Ale w istocie rzeczy takie karmienie było znakomitym rozwiązaniem – tak dla karmionej, jak i karmiącej. Łyżeczka nie zdawała egzaminu. Było dużo wychłapywania i w konsekwencji mama zjadała za mało.

Tak to mniej więcej wyglądało i widzieliśmy, że z chwilą przybycia pani Zofii mama była jakby odrobinę lepiej. Wyjeżdżaliśmy więc od niej w trochę lepszym nastroju, jakkolwiek tak to się tylko pisze...

## **CIĄG DALSZY NASTĄPI**

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: [Goniec.net](http://Goniec.net)